



# Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

**obuwie dziecięce, damskie i męskie.**

MICHAŁ MORPHY.

## TAJEMNICA POGROMCZYNI.

Powieść z francuskiego.

14

Zanim się zorientować mogła, znalazła się na chodniku obok meza w ubraniu najprymitywniejszym. Drzwi zamknięto za nimi. A dwaj mężczyźni uciekali, wołając:

— Hej, ludzie! Pójdźcie podziwiać małżeństwo w pętach... prawowitości!

Nigdy, zaprawdę nigdy jeszcze dotąd dwoje małżonków, prowadzących hotel i spełniających zarazem obowiązki odźwiernych nie padło ofiarą równie srogiego losu.

— Co to się z nami nie dzieje. Boże Wiekui-  
sty! — biadała nieszczęsna pani Ducordon.

— Abo ja wiem. Wyciągnięto mnie na dwór. Wołałem na ciebie. Te czarty przybiegły. Tyś otworzyła, ale jeden z nich przytrzymał mnie tutaj, podczas gdy drugi uciekał w aleje...

— A mnie pochwycono i przyniesiono aż tutaj — zakończyła stróżka.

— To straszne, to obrzydliwe!

— Mój Boże! Gdybym choć miała gorset i spódnice.

— A ja, w tej kusej koszuli, na taki wicher!

— Co pocniemy?

W tej chwili dwóch agentów wyszło z za węgla ulicy. Zjawiło się też kilku przechodniów. Zamknięto kawiarnię i ulica zaczęła się ożywiać.

Było to osobliwsze widowisko dla studentów i ich towarzyszek, ten widok pana i pani Ducordon, stojących jedno obok drugiego w kostiumach więcej niż lekkich. Okrzyki jęły się krzyżować, a policjanci przyspieszali kroku.

— Patrzenie, oto Adam i Ewa, wygnani z raju z całą pompą.

— Daphnis i Chloë!

— Nie, to Paweł i Wirginja.

Jeden z policyantów zwrócił się do małżonków, skonfundowanych i drżących:

— Co wy tu robicie?

— Nic nie robimy — odparł żałośnie pan Ducordon, szczękając zębami.

— Tego by tylko brakowało! — rzekł jakiś student.

Tłum wzrastał. Można było mniemać, że wszystkie wesółki z łacińskiego kraju, zesłi się tu, zawiadomieni o szkaradnej psocie. Agenci policyi byli w kłopotcie. Ten, co się pytał, nie umiał powiedzieć nic więcej, tak nie normalnym i fantastycznym był ten spektakl. Inny powziął myśl genialną.

— Może was zrabowano?

To przypuszczenie wywołało salwę śmiechu ze strony widzów. Dwuznaczniki lunęły, jak z cebra.

— A to kawalarze, żeby dziś komu taką psotę wyrządzić!

— To jeszcze dobrze, że i koszul im nie zabrali! Agenci byli bezradni.

— Tego już za dużo! — rzekł jeden.

— To gorszące w najwyższym stopniu — zauważył drugi.

I dodał:

— Mówcież tedy, kto wam zabrał odzież?

Pani Ducordon chciała wytłumaczyć, jak było.

— Nikt, proszę pana. Ubranie mamy w domu. Mój mąż wyszedł tak, jak stoi... A mnie wzięto gwałtem...

Obecni przysłuchiwali się, zanosząc się od śmiechu.

— Kto panią wziął gwałtem? — pytał agent, tracąc głowę. — Czy ten pan może?

— Nie, panie, ten, to mój mąż.

Agenci zdetonowani, zaarrestowali oboje.

Ciekawym był widok małżonków Ducordon, prowadzonych przez agentów w kostiumach do spania.

— Okryjcież ich swymi płaszczami, gotowi się pozazębiać koteczkowie! — zawołała jedna z bawerek.

Nie pomyśleli o tem. Równoczesnym ruchem zdjęli ze siebie kapoty i pokrywali aresztowanych. To było szczytem. Pan i pani Ducordon stali się podobni do kontrabandzistów, prowadzonych na posterunek przez agentów policyi. Dotarto tam nareszcie, ku wielkiemu żalowi ciekawych.

Na policyi wszystko się wyjaśniło, ale pan i pani Ducordon musieli przemocować w kozie, nikt bowiem nie mógł wpuścić ich do domu. Nazajutrz, z rozkazu komisarza, odstawiono ich do mieszkania fiakrem, otulonych w dery policyjne. W trzech czwartych postradali zmysły. Ale nie na tem koniec ich strapiień. Po kilka razy przybywali różni ludzie oglądać mieszkanie do wynajęcia. Zrana, zjawiła się poważna para, twierdząca, że wszystko było utrzymane w wielkiej czystości. Ale nagle mężczyzna chciał wejść do kuchni, która znajdowała się w poddaszu, była więc bardzo niską. Jego cylinder dotknął sufitu.

— Ach! — rzekł do żony: — nie możemy wziąć tego mieszkania. Nie można wejść do kuchni w kapeluszu na głowie.

— Ależ tego się nie robi — zauważył pan Ducordon.

Zartuje pan chyba — odparł gość i odszedł z przeprosinami za subiekcyę.

Przybył następnie jakiś starszy jegomość, który znalazł wszystko tak, jak tego pragnął. Ale wszedłszy do kuchni, zrobił to samo spostrzeżenie.

— Któż widział! Do kuchni nie można wejść w cylindrze. Szkoda, bo mieszkanie bardzo mi się spodobало.

I rzekł do osłupiałego gospodarza:

— Nie przypuszczam, ażebyś pan mógł łatwo dostać jakiego lokatora, bo tu kuchni nie da się prowadzić w wysokim nakryciu głowy.

Poczem, skłonił się panu Ducordon, który porwał się za głowę i zadał sobie pytanie.

— Czyż ja nie zwaryował przypadkiem?

Było coś w tym guście. Przez cały dzień odbywały się wędrówki na piąte piętro. I zawsze ten sam wykręt.

— Nie można gotować w cylindrze. Co gorsza, tej wady w budowie nie da się uniknąć!

Doszło do tego, że odźwierni już na dole ostrzegali wizytujących:

— Jest mieszkanie do wynajęcia, ale kuchnia za niska, ażeby się dało ją użytkować w cylindrze na głowie. Może nie warto chodzić tak wysoko.

Wizytujący dzielili się na dwie kategorie. Jedni, żartownisie, którzy oświadczaali, że nigdy nie mogliby mieszkać w takich warunkach. Drugi, którzy chcieli wynająć faktycznie, a którzy, przypuszczając, że sobie z nich zadrwiono, wyprawiali sceny małżonkom Ducordon. I tak przeplatano.

Z nadejściem nocy, małżonkowie wyczerpani, zasiedli na starej kanapie. Już nie myśleli o zapaleniu światła, tak pomartwieni byli oboje. Nagle, łoża ich buchnęła ogniem pożaru, a światło czerwone ogarnęło całą izdebkę. Wybiegli, wołając z przestraszeniem.

— Pali się! Pali się!

Pan Ducordon pobiegł po straż ogniową, a żona przez ten czas wrzeszczała:

— Ratujcie się, kto może! Ogień jest w domu!

Lokatorzy schodzili jak waryaci, unosząc najcenniejsze rzeczy. Cała dzielnica była w poruszeniu. Straż nadjechała. Dwie sikawki przybyły w galopie. Za niemi pompa. Otworzono krany do wody. Strażacy, z pośpiechem godnym uznania, wpadli w głąb domu. Ale niebawem wrócili, pytając:

— Gdzież ogień?

— W łoży, — odparli jednogłośnie Ducordonowie.

Strażacy weszli do łoży. Ognia ani śladu. Ani iskierki. Gniew ich opanował.

— Niema ognia — rzekli, wpadając na odźwiernych — zadrwiliście sobie z nas?

— Niema ognia? Cała łoża pełną była czerwonych płomieni!

Ale ku wielkiemu ich zdziwieniu, nie było ani śladu pożaru. I rozpoczął się koncert wymówek i pretensyj do odźwiernych. Lokatorzy, stojący szeregiem na chodniku, z dziećmi na rękach, z walizkami, zegarami i całą masą cennych rzeczy, mścili się za ośmieszenie siebie złorzeczeniami i pomstowaniem na Ducordonów. Wszyscy oświadczyli, że się wyniosą, bo nikt nie miał pewności przy takich ciemiegach. Co zaś do strażników, ci oznajmili, że dadzą wkrótce poznać, co znaczy fatygowanie zbyt licznych straży ogniowej! Biedni ratownicy! Zjeżdżali się zewsząd i sceny odbywały się co chwila.

Banda młodych ludzi o pozorach studentów wyśmiewała się z lokatorów i strażaków, podniecając ich oburzenie. Policya była w ruchu. Nadbiegł komisarz. Kazał odprowadzić małżonków znowu do kozy, oświadczaając, że ich nie wypuści dopóty, dopóki lekarz ich nie zbada. Nieszczęśliwa para składała od dwóch dni świadectwo utraty zmysłów tak widoczne, że wszyscy poklaskiwali tej przezorności komisarza. W trakcie zamieszania pewien młody człowiek wszedł do łoży i podniósł spód sztucznego ognia, wypalonego pod jednym z krzeseł. Pożar, który tak okrutnie przeraził małżonków, był po prostu czerwonym ogniem bengalskim za trzydzieści susów, podsuniętym do łoży przez jakiegoś psotnika!...

Tego samego wieczora, Carboniera, otoczony najweselszymi studentami z lewego brzegu Sekwany, oświadczył wśród dwóch kufli piwa w „Brasseryi Bamboszerów“, że ułaskawia małżonków Ducordon i że jest kwita z nimi. Poczem złożył przyjaciółom serdeczną podziękę za ich współdziałanie. Zakończył z gestem napoleońskim:

— Aularze, kontent z was jestem!

Tak się skończyły urazy. Nazajutrz małżonkowie odzyskali wolność; co zaś do rozumu, to nigdy już nie posiadali go zupełnie. Pani Ducordon wystrzeżała się odtąd jak zarazy pomawiania związków swoich lokatorów o ich nielegalność.

### ROZDZIAŁ X.

#### Doświadczenie.

Carboniera powrócił do domu Monte-Leona z uczuciem spełnionego obowiązku. Ubawił wszystkich, opowiadając o niesłychanej werwie i zimną krwią a powagą tę niesłychanie uciśną epopeję.

Jeden tylko Monte-Leon słuchał z roztargnieniem wesolej opowieści swego przyjaciela. Ten spostrzegł to, a znalazłszy się z nim na osobności, spróbował zajrzeć w głąb jego myśli. Ale rzeźbiarz tłumaczył się wymijająco.

W wilię ślubu młodej pary, Carboniera wszedł do pracowni Monte-Leona. Artysta pracował nad wyplanowywaniem drzewa, które przykrył natychmiast, spostrzegłszy Carbonierę. Ale ten zauważył ten ruch i rzekł do siebie:

— Aha! Więc tu spódniczka w robocie!

I dodał głośno:

— Mój drogi, wiem już, co o tem myśleć.

— O czym?

— Nie mieszaj się. To głupstwo. Jesteś wolny jak powietrze, masz więc najzupełniejsze prawo kochać się.

— Zabawny z ciebie człowiek!

— Nieprawdaż?

— Jaka ci znowu miłość w głowie?

— No to pokaż że mi ten szkic, który ukryłeś na mój widok z taką skwapliwością.

— Studium kobiety — odparł Monte-Leon, odkrywając drzewo.